

# Bezsilność, manipulacja, imigracja

Piotr Ślusarczyk

Brytyjski rząd, a za nim media i ośrodki akademickie manipulowały danymi na temat imigracji. Upiorny żart niemieckiego pisarza Bertolda Brechta, że władza, niezadowolona ze społeczeństwa, postanowiła wymienić je na inne, stał się niepokojąco aktualny.

Niniejszy tekst otwiera serię artykułów prezentujących najważniejsze argumenty wysuwane przez brytyjskiego autora Douglasa Murraya w książce „Przedziwna śmierć Europy”, której polski przekład ukazał się w 2017 roku nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka.

Brytyjskie elity jeszcze w ostatnich latach XX wieku uparcie realizowały plan zmiany struktury demograficznej społeczeństwa, lansując politykę otwartych drzwi. Już w 2002 roku spis powszechny ludności w Zjednoczonym Królestwie pozwalał przy pomocy prostej analizy stwierdzić, że w ciągu najbliższej dekady Brytyjczycy przestaną stanowić większość w Londynie, zaś liczba muzułmanów na Wyspach wzrośnie dwukrotnie. Jak to się stało, że słowa te nie padły, że ta oczywista konstatacja nie przebiła się do opinii publicznej? Odpowiedź jest bardzo prosta: chociaż dane zebrane przez urząd statystyczny pozwalały wyciągnąć takie wnioski, poprawność polityczna tego zabraniała. Ktokolwiek wyrażał zaniepokojenie tymi danymi, spotykał się z zarzutem „rasizmu”. I tak na przykład David Blunkett uznał, że niepokój dziennikarza Anthony'ego Browne'a z redakcji „The Times” „ociera się o faszyzm”.

Spis ludności z 2011 roku przyniósł kolejną porcję informacji, z których de facto nikt nie wyciągnął wniosków. Między 2001 a

2011 rokiem oficjalne liczby wskazywały na niemal dwukrotny wzrost ludności muzułmańskiej w Anglii i Walii (z 1,5 miliona do 2,7 milionów). Dane te uznać należy za wysoce niedoszacowane ze względu na skalę nielegalnej imigracji oraz wysoki odsetek tych, którzy ankiety nie wypełnili. Nie przeszkodziło to rzecznikowi urzędu statystycznego uznać tych informacji za „krzepiące oznaki różnorodności”.

Kluczową rolę w radykalnej zmianie polityki imigracyjnej Wielkiej Brytanii odegrał rząd Tony’ego Blaira, który mianował ministrem ds. imigracji Barbarę Roche. Jej zdaniem jakakolwiek próba debaty na temat wad masowej imigracji to przejaw rasizmu lub, w najlepszym razie, anachronicznego konserwatyzmu. Gorliwość ideologiczna spotkała się z urzędniczą niekompetencją. Wbrew deklaracjom, sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Nawet po tym, jak rząd konserwatywny w 2010 roku obiecał wyborcom zmniejszenie fali imigracji, w rzeczywistości wzrosła ona do ponad trzystu tysięcy osób rocznie. Trend ten nadal trwa, specjaliści od zmian demograficznych prognozują, że za 40 lat „rdzenni Brytyjczycy” będą stanowili mniejszość w całym Zjednoczonym Królestwie.

Debata nad negatywnymi konsekwencjami imigracji, a także nad jej konsekwencjami kulturowymi, społecznymi i ekonomicznymi w perspektywie dalszej niż pojedyncza kadencja premiera, staje się niemożliwa. Jak dowodzi Douglas Murray, rzetelna debata nie ma szans powodzenia, gdyż zamiast argumentów padają inwektywy, zamiast uczciwych danych mamy politycznie poprawną narrację, zamiast uczciwych raportów – zmanipulowane liczby. Argumenty rozpowszechniane przez zwolenników imigracji czy budowy społeczeństwa wielokulturowego opierają się w dużej mierze na nieuzasadnionych frazesach.

Pierwszy z nich brzmi: „imigracja jest ekonomicznie korzystna dla społeczeństwa”. W 2013 roku Ośrodek Badań i Analiz Migracji związany z UCL (University College of London) opublikował raport, zgodnie z którym imigranci więcej wpłacają do wspólnej kasy niż z niej dostają. Innymi słowy – imigracja

to dla Wielkiej Brytanii czysty zysk. Wnioski z dokumentu powtórzyły największe koncerny medialne, w tym BBC. Niewielu jednak zauważało, że badanie dotyczyło przede wszystkim imigrantów z Europejskiego Obszaru Ekonomicznego. Typowym imigrantem został nie przybysz z Pakistanu czy Bangladeszu, lecz mieszkaniec Norwegii czy Niemiec. Trzy lata wcześniej uczeni Sarah Spencer oraz Jonathan Portes przygotowali dla rządu raport, w którym wszelkie zastrzeżenia wobec imigracji uznano za teoretyczne oraz mało istotne. Odrzucono uwagę, że nieznajomość języka angielskiego u dzieci imigrantów utrudnia edukację w szkole i że zwiększająca się gęstość zaludnienia rodzi problemy z dostępnością mieszkań czy usług publicznych.

Drugi proimigracyjny mit skupia się na starzejącym się społeczeństwie. Lekarstwem na zapaść demograficzną i deficyt młodych Brytyjczyków ma być imigracja z krajów muzułmańskich, gdyż rodziny te są zazwyczaj wielodzietne. Problem jednak w tym, że imigracja nie rozwiązuje tej kwestii, gdyż za trzydzieści, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat dzisiejsi młodzi imigranci nie będą już w stanie pracować i to oni staną się obciążeniem dla budżetu. Do tego wszystkiego dochodzi kulturowo uwarunkowane bezrobocie w rodzinach muzułmańskich, będące skutkiem wyznaczenia kobiecie jedynie roli żony i matki. To, co dziś uważamy za rozwiązanie, dla kolejnego pokolenia okaże się przekleństwem.

Paradoks współczesnej debaty o imigracji polega jednak na tym, że – nawet jeśli uda się spokojnie i rzeczowo przedstawić argumenty świadczące o „samobójczej” polityce rządów w Europie – obiekcje te kwitowane są dobrze znanym wschodnim Europejczykom argumentem o dziejowej konieczności, nazywanej dziś „nieuchronnymi procesami globalizacji”.